GŁOS NARODU

VIGILATE!

Czuj duch o bracia! idzie nasz Król,
Pełnią szafiru, gwiaździe, oczyma
Patrzy się na nas głęboka noc.
Kto straż królewską wśród nocy trzyma
Żelazną wolą niech ściśnie moc,
Czuj duch o bracie! idzie nasz Król.

W szaty bogate odział nas Król,
W jedwab nas odział w bisior łyskliwy
I blaskiem swoich oblał nas łask,
Że się za nami włóczą podziwy
Że gdzie stąpimy pada z nas blask
I woła głośno: „Wielki ich Król!"

Pochodnie złote zwierzył nam Król
Ogniem wieczyście młodym płonące,
Bujnego ognia kipiące grą!
Pochodnie jasne, ocierające
Świetną, źródłową wszechistnień łzą;
Pochodnie twórcze zwierzył nam Król.

I arfy swoje podał nam Król
W nasze bogate w prąd życia ręce,
A na nich wiązkę naciągnął strun,
A w struny zaklął śmiechy dziecięce
I głąb szeroko rozbłysłych łun
I arfy swoje podał nam Król.

Czuj duch o bracie! bo idzie Król!
Niechaj się oczy nasze nie schodzą,
W tajemny uścisk błyskawic dwu,
Bo siły dziwne co z nich się rodzą
Mają moc czaru i niemoc snu,
Więźniami staniem, gdy przyjdzie Król.

Czuj duch o bracie! idzie nasz Król!
Głosy przyciszmy już bliska chwila,
Potłummy głośny, młodzieńczy śmiech,
Niechaj się w uśmiech łagodny schyla,
Bo w tłumie głośnych rozgranych ech
Nie dosłyszymy, że idzie Król.

Przez noc i ciszę idzie nasz Król,
Moc swą ściśnijmy... W noc granatową
Słuch nasz wytężmy, wytężmy wzrok.
Noc się zapala plejadą nową:
Jego pochodzin rozdarty mrok!
Grzmotem się zbliża, rośnie echowo
Królewski Jego mocarny krok:
W górę pochodnie! To Król! nasz Król!

Krystyna Sarjusz-Zaleska

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu" z 25. stycznia 1903 roku.

JAN ŚWIERK.

Z wycieczki na Śląsk.

(Dokończenie.)

Wreszcie po wielu chwilach spędzonych w szczerej rozmowie o naszych bolach i bliznach, pytam p. Korfantego:

— I mimo tego wszystkiego wierzy pan w to, iż lud wytrwa i dźwignie się.

— Najniezawodniej!.. Postęp jest ogromny, a jeszcze kilka lat takiej pracy i jeszcze tylko więcej poparcia i pomocy zrobimy wiele. Widzicie — my bądź co bądź jesteśmy tu także jednym walcem w owej olbrzymiej machinie, która zwie się mocarstwem Pruskiem. Obracamy się w ruch razem z ich walcami i kołami, ale sprawiamy im tarcie i o co dziś najwięcej idzie, aby to tarcie było coraz twardsze i silniejsze...

. . . .

Staraliśmy się usilnie, aby zwiedzić kopalnie węgla, jednak nie udzielono nam na to zezwolenia, a co gorsze, przysłano z policji z zapytaniem, co to za goście są w redakcji Górnoślązaka.

Gdyśmy zaś szli ulicą, komisarz policji z dala nam towarzyszył.

Mówię więc do Korfantego — wszakże w mieszkaniu gdy rozmawiamy, napastować nas nie mogą.

— Mogą tu przyjść i orzec, iż uważają zebranie nasze za agitacyjne więc żądają rozejścia się. Mogą zażądać oddania im wszystkich papierów i książek, bo my już do tego przywykli, tylko jedno o co mogę stanowczo upomnąć się, to aby listy opieczętowano w mojej obecności i dopiero tam w mojej obecności otwarto.

Byliśmy następnie w polskiej księgarni p. Stoca, który o ile może popiera sprawę oświaty, następnie zaś zwiedzaliśmy dalsze strony.

Trzeba to zaznaczyć jeszcze, iż w każdym prawie sklepie, restauracji lub kawiarni, na najwybitniejszem miejscu umieszczony jest biust Wilhelma i dekorowany tak wspaniale jak gdyby miała się odbyć jakaś jubileuszowa parada lub przyjęcie. Wieńce laurowe, chorągwie o barwach pruskich, aksamitne opony otaczają władcę Niemiec, a to wszystko dlatego, ażeby ludności polskiej przypominać bezustannie, iż „on“ tu rządzi i „jego“ wola tu się dzieje.

Spotkaliśmy na wsi p. Sołtysa redaktora Gazety polskiej w Zabrzu.

— Więc państwo teraz tu? na wsi? pytamy z zadziwieniem, jakże z edukacją dzieci?

— Mamy dwa gimnazja, więc ułatwiona sprawa.

Zadziwia nas to niezmiernie, iż tu rząd gimnazja porozrzucał obficie nawet po wioskach. Jakaż to odmienna kwestja oświaty u nas!

— I wy pierwszy raz na Ślązku? pyta Sołtys.

— Niestety! ze wstydem do tego się przyznajemy, ale na usprawiedliwienie nasze musimy dodać, iż w obcej stronie nie byliśmy jeszcze także ani razu. Ślązk tak blizko, a przecież tak zdaje się daleko.

— Bo się ludziom w głowie poprzewracało z temi wyobrażeniami o granicach — mówi na to p. Sołtys. Zdaje im się, że ruszyć się po za galicyjski kordon to już wiele kłopotów i trudności. A byłoby lepiej, gdybyście częściej do nas przyjeżdżali.

— Byle policja za nami nie szła jak cień, szepcę półgłosem.

W restauracji poruszyliśmy sprawę robotników z Galicji, którzy w braku roboty cisną się w te strony. P. Korfanty mówi na to:

— Galicyjscy robotnicy przeszkadzają nam w organizacji ważnej, bo n. p. kiedy my wpływamy na to, aby nasi robotnicy nie brali robót prowadzonych wbrew wszelkim przepisom sanitarnym i ochronnym, to owi biedacy z Galicji za połowę mniejszej płacy na to się godzą. Są n. p. także szyby, gdzie robotnik musi leżeć na wznak 12 godzin i kuć w górze nad sobą, dlatego musi leżeć, bo szyb jest tak płytki, iż ani nawet uklęknąć człowiek w nim nie może. My więc żądamy, aby podobne rzeczy były usunięte, a galicyjscy przyjdą i zadawalniają się nędzną zapłatą.

— Biedacy nasi! gnani nędzą i głodem cóż mają robić!

— Żaden ze Ślązkich robotników nie zgodzi się pracować za taką zapłatę za jaką robi galicyjski biedak, używani są oni też u nas do najgorszych robót, a ciemnota ich przestrasza i naszych, którzy choć germanizowani przecież czują się więcej obywatelami jak wasi. U nas analfabetów nie ma, a z tamtąd prawie każdy przychodzi jak niemowlę nieuświadomiony.

Rozmawiając — spojrzałem parę razy po salach sąsiednich, gdzie pełno było osób. Te ogromnych rozmiarów kufle z piwem jakie stały przed wypasionemi niemaszkami zdumiały mię.

— Piją tak ciągle, całe dnie tak przesiadują, a wieczorami wiodą całe rodziny i szwargoczą, aż coś w uszach drze. Wyjaśnia nam Korfanty.

W wycieczce za miasto ujrzeliśmy dużą, pustą przestrzeń ziemi porosłej blado zieloną murawą. W około tej przestrzeni wbite słupki, a na każdym z nich czarna tablica i trupia głowa. Od słupka do słupka przeciągnięte druty w około.

— Co to jest?

— Tak zwane zwalisko. Jest to cmentarzysko po pokładach węglowych, które już z wnętrza ziemi wydobyto, a że ta powierzchnia pokryta murawą jest tylko pozorną, bo wewnątrz są puste i bezdenne otchłanie, przeto dają znaki do okoła, aby nikt tu nie stąpił. Niejeden raz zdarzy się też nieszczęśliwy wypadek, iż za-

pędzone tu bydlę lub dziecko rozbiegane zapadnie się i zginie.

Z wrażeniem zwaliska otoczonego trupiemi głowami żegnaliśmy Śląsk biedny.

Wlokło się ono za nami długo jeszcze i nastrajało myśl naszą na smętny ton zadumy.

Zwaliskiem takiem jest sprawa naszych praw, wolności i szczęścia narodowego, w tej stronie kraju. Pozornie, z zewnątrz zdaje się niejedno lepiej, pokryte formą sztuczną i blichtrem cywilizacji, ale parę kroków dalej, a głębia się otwiera i pochłania ofiarę. Szkoły licznie rozrzucone niby to niosą oświatę, jednakże ileż ofiar pochłoną i ilu naszych pożrą swym germanizmem? Fabryki i kopalnie niby dają byt i chleb tysiącom ludu, a jednak ileż one chłoną naszych skarbów i wysysają sił ludu na wzbogacenie pruskich milionerów? Pozorny blichtr i szych w urządzaniu miast i wsi, ileż brudu i nikczemności pokrywa wewnątrz rozkładającej organizm krzyżackiej potęgi!

I długoż tu stać będą i ssać każdą żyłę z wnętrza ziemi niosącą im złoto i plwać będą na naszej tradycji pamiątki i urągać pracom naszym dla jutra przyszłości, a lud w głębiach kopalni młotami im służy, a lud wśród ogni dantejskich prawie obrazów kuje dla nich miliony. A po za tem wszystkiem zwalisko puste i czarne tablice do koła i nie waż się tam iść, bo zginiesz.

Jednak — nie zginiemy, gdy olbrzymia potęga żyje w sercach ludu, tylko trzeba w pracy dla ludu tego pomagać i czuć się tego biednego Ślązka bliżej i znać tamtych braci jako istotnych braci po tej samej krwi, tej samej mowie i tej ziemicy, które od pnia odcięto lecz nie zmieniono na inną.

Odjechaliśmy szybko, bo wiele przyczyn wołało na nas, iż wracać trzeba, lecz myślą niejeden raz wracaliśmy w tamte strony i szukali owego górnika, który idąc z kagańcem na nocną szychtę mówił nam: — Dla pana by się tu znalazła robota zaraz.

O tak! Znalazłem roboty dość i radbym przy niej stać a wytrwać, tylko cóż ja jeden mogę zdziałać? Napiszę im parę gawęd z historji pełnej chwały, opowiem im nieco o dniach męczeństw i cierpień strasznych... to mało, oni chcą dużo, chcą książek, powieści, rycin, chcą aby im serce rozgrzewało się i dusza odradzała, a w tem, należy nieść pomoc nie jednostkom lecz ogółowi... Tak blizko nas Śląsk ów kochany i tak wiele pola tam do pracy, a jednak jak my go nie znamy i jak daleko nam do niego. Biedny Ślązku!

Orkiestra włościańska w Bierzanowie.

Nie wiele u nas zdziałano na polu podniesienia poziomu muzyki wiejskiej. Prawie każda wieś w Polsce ma swoich muzykantów, ale prawie nigdzie nie zorganizowano ich należycie. Chlubnym wyjątkiem jest Bierzanów, gdzie dzięki usilnym staraniom kilku ludzi, istnieje wcale dobra orkiestra. Ma ona już nawet swoją historję.

Zorganizowaną została jeszcze w roku 1853, lecz wkrótce a w szczególności około roku 1865 poczęła słabnąć, a gdy jeszcze kilku muzykantów powołano do wojska w czasie pruskiej wojny, a oprócz tego, gdy w późniejszych latach kilku zdolniejszych muzykantów dla zabezpieczenia sobie lepszej przyszłości dobrowolnie wstąpiło do muzyki wojskowej, zdawało się, że po orkiestrze tej wkrótce ślad zupełnie zaginie. — Liczba muzykantów zmniejszała się z każdym rokiem, a instrumenta z powodu częstego używania ulegały zniszczeniu, na zakupno zaś nowych nie było funduszów.

Dopiero gdy w roku 1894, dzięki ofiarności pp.: Karola Czecza, właściciela dóbr w Bierzanowie i Erazma Jerzmanowskiego, właściciela dóbr z Prokocimia, oraz gminy Bierzanów, zakupiono nowe instrumenta muzyczne i sukmany dla muzykantów, a włościanie Paweł Flanek i Jan Grzywna zajęli się zorganizowaniem orkiestry przy pomocy ówczesnego proboszcza, ś. p. Ks. Kufla, nastała nowa pomyślna era.

Muzyka włościańska z Bierzanowa popisywała się już nieraz w rozmaitych miejscowościach i zawsze brała udział w patrjotycznych obchodach tak w samym Krakowie, jak w Podgórzu, w Wieliczce, Bochni, Niepołomicach, Gdowie, Skawinie, oraz w Morawskiej Ostrawie, Szczakowy a raz jeden aż w Wiedniu. Letnią porą występuje dość często w Krakowie, zawsze jednak w niedzielę rano, podczas nabożeństwa, grywa w kościele parafialnym w Bierzanowie.

Orkiestra liczy prócz uczniów — 16 muzykantów stałych, a kapelmistrzem jest Paweł Flanek.



Żydzi na jarmarku. Według Grottgera.

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW.

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

— Za każdym razem portjer, stojący we drzwiach, wezwie portjera, siedzącego w sieni — i temu dasz po szylingu. Oto dwadzieścia trzy szylingi. Zapewne na 23 razy — 20 razy usłyszysz, że spalono wczorajsze gazety; w trzech hotelach dadzą ci całą plikę; będziesz wśród niej szukał tego numeru *Timesa*. Prawdopodobnie go nie znajdziesz. Oto dziesięć szylingów na nieprzewidziane wydatki. Wypraw do mnie depeszę przed wieczorem na Baker Street. A teraz, Watson, musimy dowiedzieć się o dorożkarza Nr. 2704, potem wstąpimy do galerji obrazów przy Blond Street, dla zapełnienia sobie czasu do godziny drugiej.



Orkiestra włościańska w Bierzanowie.

V.

Trzy nici urwane.

Sherlock miał niezwykły dar zwracania dowolnie swoich myśli w jakimbądź kierunku. Przez półtory godziny zapomniał o tej dziwnej sprawie; pochłonęły go obrazy nowoczesnych mistrzów belgijskich, mówił tylko o sztuce, na którą miał poglądy bardzo oryginalne.

O naznaczonej godzinie stanęliśmy przed Northumberland Hotel.

— Sir Henryk Baskerville czeka panów na pierwszem piętrze — rzekł portjer.

— Czy mogę zajrzeć do listy waszych gości? — spytał Holmes.

— I owszem.

Księga wykazywała, że dwie osoby stanęły w hotelu, po zatrzymaniu się tam sir Henryka: niejaki Teofil Johnson z rodziną, przybyły z Newcastle i pani Oldmore ze służącą, z High Lodge, Alton.

— Zdaje mi się, że znam tego Johnsona — rzekł Holmes do portjera. — Wszak to adwokat, siwy, utyka na nogę.

— Przeciwnie: ten pan Johnson jest właścicielem kopalni węgla, bardzo ruchliwy, w wieku pana.

— Jesteś w błędzie co do jego fachu.

— Bynajmniej. Znamy go od lat kilkunastu; zawsze do nas zajeżdża.

— Ha! w takim razie, ja się pomyliłem. Pani Oldmore?... I to nazwisko jest mi znane. Daruj

mi ciekawość, ale chciałbym wiedzieć, czy to moja znajoma.

— Jest to osoba niemłoda, bezwładna. Jej mąż był niegdyś merem w Glocester. Ona zawsze do nas zajeżdża.

— Dziękuję za informacje. Widzę, że to kto inny. Nie znam tej pani...

Gdyśmy szli na górę, mój przyjaciel szepnął:

— Wiemy już, że osoba, która interesuje się losem sir Henryka, nie stanęła w tym hotelu. Choć go śledzi, jednak boi się być śledzoną. Jest to fakt bardzo znamienny. Ale... cóż to się stało?...

Gdyśmy weszli na pierwsze piętro, naprzeciw nam wybiegł sir Henryk, widocznie wzburzony. W ręku trzymał stary but.

— Drwią sobie ze mnie w tym hotelu! — wołał — ale nauczę ich rozumu! Jeżeli but się nie znajdzie, popamiętają mnie tutaj!

— Szuka pan wciąż buta?

— Tak, ale nie puszczę tego płazem!

— Wszak pan mówił, że but był żółty?

— Tak; wzięli mi naprzód żółty, a teraz czarny. Miałem tylko trzy pary; nowe żółte, stare czarne i te oto lakierki. Wczoraj zniknął jeden od żółtej pary, a dziś jeden od czarnej. No, i cóż? Znalazłeś go? Mów.

Przed nami stał wystraszony posługacz, Niemiec.

— Nie znalazłem — odparł głosem drżącym. — Szukałem wszędzie, ale zginął bez śladu...

— Słuchaj: jeżeli ten but nie znajdzie się przed wieczorem, powiem zarządzającemu i wyprowadzę się z hotelu.

— Znajdzie się! Obiecuję, że znajdzie się.

— Pamiętaj! Przepraszam cię, panie Holmes, za tę scenę. Chociaż to rzecz drobna, ale straciłem już cierpliwość.

— To nie jest wcale drobiazg...

— Widzę, że pan przejął się tą stratą. Jak ją pan sobie tłómaczy?

— Nic jeszcze nie rozumiem; bądź co bądź, to dziwne, jak wszystko, co się panu przytrafia od chwili powrotu do kraju. Ale mamy już kilka nici w ręku i spodziewam się, że nie ta, to druga, doprowadzi nas do wykrycia prawdy. Możemy stracić trochę czasu na kroczeniu po fałszywym tropie, ale wcześniej czy później, wejdziemy na właściwy.

Śniadanie przeszło bardzo wesoło. Nie mówiliśmy o tej sprawie, dopiero gdyśmy wrócili do apartamentu sir Henryka, oznajmił nam swoją decyzję.

— Jadę do Baskerville Hall — oświadczył.

— Kiedy?

— W końcu tygodnia.

— Ha! może pan dobrze robi. Jabym tak samo postąpił. Przekonywam się coraz bardziej, że jesteś pan szpiegowany tutaj, a wśród miljonów ludzi, nagromadzonych w stolicy, trudno jest wykryć tych pańskich prześladowców, czy opiekunów. Jeżeli mają złe względem pana zamiary, mogą je wykonać, zanim zdołamy temu zapobiedz. Nie wiesz zapewne, doktorze Mortimer, że śledzono panów dzisiaj, gdyście wyszli z domu?

Doktor Mortimer zdziwił się.

— Któż nas szpiegował?

— Na nieszczęście, nie potrafię tego powiedzieć. Czy wśród znajomych i sąsiadów pańskich w Dartmoor jest jaki mężczyzna z bardzo czarną i dużą brodą?

— Nie... Ach, prawda... Barrymore, kamerdyner sir Karola, ma dużą, gęstą i czarną brodę.

— Tak? Gdzież jest teraz Barrymore?

— Pilnuje pałacu.

— Trzebaby się przekonać, czy nie bawi w Londynie.

— W jaki sposób?

— Daj mi pan blankiet telegraficzny. Napiszę: „Czy wszystko gotowe na przyjęcie sir Henryka Baskerville?“ Zaadresuję: „P. Barrymore, Baskerville Hall“. Jaka jest najbliższa stacja telegraficzna?

— Grimpen.

— U spodu zamieszczam adnotację: „Telegram ma być oddany do rąk p. Barrymore. Jeżeli jest nieobecny, proszę odesłać depeszę sir Henrykowi Baskerville, Northumberland Hotel“. Przed wieczorem będziemy wiedzieli, czy Barrymore jest na swojem stanowisku w Devonshire.

— Wybornie! rzekł sir Henryk. — Ale powiedz-że mi, doktorze Mortimer, co to za jeden ów Barrymore?

— Jest synem zmarłego klucznika. Od czterech pokoleń służyli rodowi Baskervillów i strzegli pałacu. O ile wiem, współczesny Barrymore i jego żona są bardzo porządnymi ludźmi.

— Mają zresztą spokojny kawałek chleba, mało roboty i cały pałac do rozporządzenia, skoro właściciele rzadko w nim przebywają.

— To prawda.

— Czy Barrymore został wymieniony w testamencie sir Karola? — pytał Holmes.

— Oboje z żoną otrzymali po pięćset funtów.

— Taak?... Czy wiedzieli, że je otrzymają?

— Tak. Sir Karol lubił mówić o rozporządzeniach, zawartych w swoim testamencie.

— To bardzo ciekawy szczegół.

— Mam nadzieję, że nie będziesz pan patrzył podejrzliwie na wszystkich, którzy otrzymali legaty od sir Karola, bo i mnie zapisał tysiąc funtów — rzekł doktor Mortimer.

— Doprawdy? Komuż jeszcze?

— Jest kilka legatów na drobne sumki i duży zapis na cele dobroczynne. Reszta kapitałów przeszła na sir Henryka.

— Ilo wynoszą?

— 740,000 funtów szterlingów.

Holmes podniósł brwi ze zdziwienia.

— Anim przypuszczał, że suma jest tak wysoka — szepnął.

— Sir Karol uchodził za bogacza, ale i my nie mieliśmy pojęcia, że jest tak dalece boga-

tym. Cały majątek z nieruchomościami wynosi przeszło miljon funtów.

— Doprawdy? Takie pieniądze mogą wywołać pożądliwość i doprowadzić do zbrodni. Jeszcze jedno pytanie, doktorze Mortimer. Przypuściwszy, że jakie nieszczęście spotka naszego przyjaciela — daruj mi pan tę smutną hypotezę — kto wówczas odziedziczy majątek?

— Ponieważ Roger Baskerville, młodszy brat sir Karola, zmarł bezżennie i bezpotomnie, zatem majątek przeszedłby na dalekich krewnych, Desmondów. Jakób Desmond jest niemłodym człowiekiem, pełni obowiązki pastora w Westmorland.

— Dziękuję panu. Te szczegóły są dla mnie bardzo ważne. Czy pan znasz Jakóba Desmond?

— Znam. Przyjeżdżał kiedyś w odwiedziny do sir Karola. Jest to mąż bogobojny, wielkich zasług i wielkiej bezinteresowności. Pamiętam, że nie chciał przyjąć żadnego zasiłku od sir Karola, pomimo iż ten błagał go o to.

— Więc ten człowiek, tak skromnych wymagań, zostałby spadkobiercą olbrzymiej fortuny?

— Tak, o ile obecny właściciel nie rozporządzi kapitałami inaczej.

— Wszak zrobiłeś już pan testament, sir Henryku?

— Nie, panie Holmes. Nie miałem czasu. Dopiero wczoraj dowiedziałem się, jak stoją rzeczy. Ale, bądź co bądź, uważam, że pieniądze powinny iść razem z majątkiem ziemskim. Taka była wola stryja. Właściciel Baskerville Hall nie mógłby utrzymać rezydencji w stanie dawnej świetności, gdyby nie miał gotówki. Pałac, ziemia i pieniądze muszą być w jednem ręku.

— Masz pan słuszność. Dzielę też najzupełniej pańskie zdanie i pod innym względem, znajdując, że pan powinieneś wyruszyć natychmiast do Devonshire. Ale nie możesz pan jechać sam.

— Doktor Mortimer wraca ze mną.

— Doktor Mortimer będzie zajęty praktyką, zresztą mieszka o parę mil od dworu. Pomimo najlepszych chęci nie mógłby służyć panu pomocą w razie potrzeby. Nie, sir Henryku, musisz wziąć ze sobą człowieka zaufania, któryby pana nie opuszczał na krok.

— Czyżbyś pan chciał ze mną jechać, panie Holmes?

— W razie konieczności, stawię się natychmiast, ale teraz mam ważną sprawę i nie mogę opuścić Londynu. Przedstawiciel pierwszorzędnego rodu jest trapiony przez łotra i wyzyskiwacza. Muszę zapobiedz skandalowi.

— Może mi pan kogo poleci na swoje miejsce?

Holmes położył mi rękę na ramieniu.

— Jeżeli mój przyjaciel zechce panu towarzyszyć — rzekł — to nikomu nie mógłbyś pan tak zaufać, jak jemu.

Propozycja zaskoczyła mnie zupełnie znienacka. Zanim jednak zdążyłem odpowiedzieć, Baskerville wyciągnął do mnie rękę.

— Mam nadzieję, że mi pan tego nie odmówisz — rzekł. — Gdybyś pan chciał wyświadczyć mi tę łaskę, będę panu wdzięcznym do końca życia.

Nęciły mnie zawsze niezwykłe przygody, a w dodatku pochlebiała mi skwapliwość, z jaką sir Henryk przyjął tę propozycję.

— Pojadę z przyjemnością, odparłem.

— I będziesz mi donosił o wszystkiem — rzekł Holmes. — Gdy przyjdzie kryzys, co jest nieuniknionem, wskażę ci, jak masz postąpić. Sądzę, że za dni kilka będziesz gotów do drogi.

— Mogę jechać w sobotę — oświadczyłem.

— A więc spotkamy się o godzinie 10-ej minut 30 na dworcu Waterloo — rzekł sir Henryk.

Nagle wydał okrzyk zdziwienia. Podbiegł do łóżka, schylił się i z pod nocnej szafki wydobył but żółty.

— Mam moją zgubę! — zawołał.

— Oby wszystkie przykrości zostały równie szybko usunięte — życzył mu Sherlock Holmes.

— To jednak dziwna! zauważył doktor Mortimer. — Przeszukałem starannie cały pokój przed śniadaniem.

— I ja także — wtrącił sir Baskerville.

— Wtedy nie było buta.

— Zapewne posługacz podrzucił go w czasie naszej nieobecności.

Posłaliśmy po Niemca, ale twierdził, że o niczem nie wie i nie umiał wyjaśnić tego dziwnego zdarzenia.

Więc znowu jedna zagadka powiększyła szereg drobnych tajemnic, następujących tak szybko po sobie. Nie licząc już śmierci sir Karola, w ciągu dwóch dni wpadaliśmy z jednego zdziwienia w drugie, łamiąc sobie głowę: to nad drukowanym listem, to nad zjawieniem się szpiegów, nad zniknięciem żółtego, to czarnego buta. Odnalezienie żółtego było nowym sękiem.

Holmes nie odzywał się, jadąc ze mną na Baker Street; po jego ściągniętych brwiach domyślałem się, że waży w myśli te wszystkie okoliczności i wysnuwa z nich wnioski. Przez całe popołudnie, aż do wieczora, siedział w obłokach dymu.

Przed samym obiadem wręczono mu dwie depesze: Pierwsza brzmiała w te słowa:

„Doniesiono mi, że Barrymore jest na miejscu. *Baskerville*".

Treść drugiej depeszy była następująca:

„Zwiedziłem dwadzieścia trzy hotele wskazane, ale nie mogłem znaleźć owego *Timesa*. *Carterright*".

— A więc obie moje nici zerwane — rzekł Holmes. — Nic mnie tak nie podnieca, jak niepowodzenie.

— Pozostaje jeszcze dorożkarz, który woził nieznajomego.

— Telefonowałem do biura policji, aby dowiedziano się o jego nazwisku. Ktoś dzwoni. To może odpowiedź?

Było to coś więcej. Do pokoju wszedł dorożkarz we własnej osobie.

— Doniesiono mi z policji, że ktoś, mieszkający pod tym adresem, wypytuje o Nr. 2704— rzekł ów człowiek o twarzy dobrodusznej. — Jeżdżę już siedem lat i nikt na mnie nigdy skargi nie wnosił, więc bardzo mnie to zadziwiło i przyjechałem, ażeby się dowiedzieć, co pan ma przeciwko mnie.

— Nie mam przeciwko wam nic zgoła, mój przyjacielu — odparł Holmes — a właściwie mam dla was pół suwerena, jeżeli potraficie odpowiedzieć jasno i dokładnie na moje pytania.

— Dzisiaj widocznie dobry dzień — szepnął dorożkarz. — Czem panu mogę służyć?

— Przedewszystkiem podaj mi swój adres, na wszelki wypadek.

— John Clayton, Turpey-Street Nr. 3. Stoję z dorożką na Shipley-Yard, w pobliżu dworca Waterloo.

Sherlock Holmes zapisał to sobie.

— A teraz, Clayton, powiedz mi wszystko, co wiesz, o panu, który stał pod tym domem o dziesiątej rano, a potem kazał ci jechać za dwoma gentlemanami przez Regent-Street.

Dorożkarz spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Cóż ja panu mam mówić, kiedy pan sam wie wszystko — odparł. — Ten pan powiedział mi, że należy do policji, że jest *detektywem*, i kazał milczeć.

— Mój przyjacielu, sprawa jest bardzo ważna, i można się znaleźć w trudnem położeniu, jeśli zachowasz to, co wiesz, dla siebie — rzekł Holmes. — A więc ten pan ci mówił, że jest detektywem?

— Tak, proszę pana.

— A kiedy ci to powiedział?

— Wysiadając z dorożki.

— Czy wymienił swoje nazwisko?

— Tak.

Holmes rzucił mi tryumfujące spojrzenie.

— To było bardzo nieostrożnie — rzekł. — Jak się nazywa?

— Sherlock Holmes.

Nigdy jeszcze nie widziałem mojego przyjaciela tak zdumionym. Spuścił głowę i milczał. Wreszcie wybuchnął śmiechem.

— A to szczwany lis! Zadrwił sobie ze mnie. Lubię takich! Powiedział, że się nazywa Sherlock Holmes?

— Tak.

— Dobrze. Powiedz mi teraz, w którem miejscu wsiadł do dorożki i co było potem?

— Zawołał na mnie o wpół do dziesiątej na Trafalgar-Square. Powiedział odrazu, że jest detektywem i ofiarował mi dwie gwinee, jeżeli przez cały dzień będę spełniał jego rozkazy i o nic pytać nie będę. Zgodziłem się chętnie. Naprzód pojechaliśmy pod hotel Northumberland i czekaliśmy tam, aż dwóch gentlemanów wyszło. Wsiedli do dorożki. Jechaliśmy za nimi; wysiedli gdzieś tutaj w pobliżu.

— Weszli do tego domu?

— Nie pamiętam dokładnie, ale mój gość widział i zapamiętał. Stanęliśmy opodal i czekaliśmy półtory godziny. Potem ci gentlemanowie przeszli mimo nas, mój pan kazał mi jechać powoli przez Baker-Street, a potem przez Regent Street, do połowy. Wtedy gentleman spuścił okienko i krzyknął, żebym jechał prosto na dworzec Waterloo, co koń wyskoczy. Zaciąłem szkapę i dojechaliśmy w dziesięć minut. Wysiadając, odwrócił się do mnie i rzekł: — „Może ciekaw będziesz dowiedzieć się, kogo wiozłeś? Jestem Sherlock Holmes".

— A nie widziałeś go już potem?

— Nie.

— Jakże ten pan Sherlock Holmes wyglądał?

Dorożkarz podrapał się w głowę.

— Nie tak łatwo go opisać. Miał może lat czterdzieści, był średniego wzrostu, ze dwa cale niższy od pana, ubrany był porządnie, miał dużą, czarną brodę, przyciętą spiczasto, i był bardzo blady.

— Jakie miał oczy?

— Nie wiem.

— Nie zapamiętałeś nic więcej?

— Nie.

— Masz swoje pół suwerena; dostaniesz drugie pół, jak mi doniesiesz coś więcej. Dobranoc.

— Dobranoc panu i dziękuję.

John Clayton wyszedł, uradowany.

— Urwała się trzecia nić! — zawołał Holmes. — To sprytny hultaj! Wiedział, gdzie mieszkam, w jakim interesie sir Henryk przybył do mnie; poznał mnie na Regent-Street; domyślił się, że spostrzegłem numer dorożkarza, że go sprowadzę, i dlatego wymienił moje nazwisko. Powiadam ci, Watson, mamy przeciwnika nielada. Zaszachowano mnie w Londynie. Życzę ci lepszego powodzenia w Devonshire. Mam wyrzuty sumienia, że cię tam posyłam. Sprawa nieczysta. Możemy się śmiać, ale ci powiem, że chciałbym cię już widzieć tutaj z powrotem.

VI.

Baskerville - Hall.

Sir Henryk Baskerville i doktor Mortimer byli gotowi do drogi i w dniu oznaczonym wyruszyliśmy do Devonshire. Sherlock Holmes odwiózł mnie na dworzec i udzielił ostatnich rad i wskazówek.

— Nie będę bałamucił twego własnego sądu, poddając ci moje podejrzenia — mówił. — Pragnę tylko, abyś mi donosił o faktach z największymi szczegółami. Pozostaw mi wysnuwanie z nich wniosków.

— O jakich faktach chcesz wiedzieć? — spytałem. (C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku